**Dziennik menopauzy – dzień 3650**

Postanowiłam poprowadzić dziennik menopauzy. Albo pamiętnik, bo nie wiem, czy zdołam codziennie robić notatki dotyczące mojego życia tu i teraz. Dlaczego chcę to robić? Bo menopauza to taki czas w życiu, na który nikt mnie nie przygotował, wrócę do tego za chwilę. Bo trwa to już okrutnie długo. Bo chcę jakoś przetrwać ten dziwny okres, a pisanie to najlepsza recepta jaką znam na wszelkiego rodzaju bolączki. Dla kogo? Przede wszystkim dla siebie, aby wyrzucić nadmiar kłębiących się we mnie emocji. Dla Sary, czyli mojej ukochanej kandydatki na synową. Data ślubu już została ustalona, więc jest prawie członkiem rodziny. Moja dziewczynka, jak ją nazywam w duchu, ma własną matkę daleko i nic nie wskazuje na to, by sytuacja ta miała ulec zmianie. Być może więc, w swoim czasie, to ja będę dla niej wsparciem, gdy w jej życiu rozpocznie się czas okołomenopauzalny ze wszystkimi „atrakcjami”, które wówczas towarzyszą kobiecie.

Może również dla innych pań, które – podobnie jak ja – błądzą we mgle lub dopiero w nią wchodzą i czują się w związku z tym pogubione.

A wreszcie dla mężczyzn, którzy okażą się na tyle mądrzy, że zechcą sięgnąć po moją radosną twórczość, by dowiedzieć się, jak funkcjonują kobiety na tym etapie życia. Może za sprawą lektury odnajdą w sobie nowe pokłady empatii?

Dlaczego akurat dzień 3650, a nie, dajmy na to, 1111 albo 1, albo 13, albo jakikolwiek inny?

Dlatego, że okres okołomenopauzalny trwa niemożliwie długo. Właściwie nie da się chyba precyzyjnie ustalić ram czasowych tego zjawiska. Na pewno łatwiej jest podczas miesiączkowania, bo z góry wiemy, że potrwa to od trzech do sześciu dni. Że na początku może boleć, ale zadziała na to jakaś tabletka. Możemy w tym czasie być nieco rozdrażnione, zachowywać się inaczej niż zwykle. Podobnie jest z ciążą, której finał da się oznaczyć konkretną datą w kalendarzu z prawdopodobieństwem pomyłki plus minus kilku dni – oczywiście przy założeniu, że wszystko przebiega pomyślnie. Kończy się bólem i łzami, choć teraz tego pierwszego jest znacznie mniej, bo panie mają do dyspozycji znieczulenie, które przed laty nie było standardem, lecz kosztowną opcją. Będąc kobietą w czasie okołomenopauzalnym, mogę śmiało stwierdzić, że jest to momentami gorsze niż okres oraz ciąża i poród razem wzięte. Głównie dlatego, że nie znamy terminu końcowego. I nie wiemy, czym jeszcze zaskoczy nas nasze ciało, czym zaskoczy nas umysł.

Tyle tytułem wstępu. Mam nadzieję, że nikogo nie zanudziłam.

Teraz będzie trochę o mnie.

Mam na imię Ewa. Wiem, wiem… Rodzice nie byli zbyt pomysłowi, wybierając to, a nie inne imię – symboliczne określenie pierwszej kobiety. Wkrótce skończę czterdzieści dziewięć lat. Mam to szczęście w życiu, że od dłuższego czasu wykonuję wolny zawód, a mianowicie jestem pisarką. Od blisko dziesięciu lat jestem rozwódką. Mam dorosłego syna, który niebawem ożeni się z Sarą. Mam kotkę Filomenę, małą, czarną jak węgielek drobinkę, i dwa razy większego od niej Felicjana – kocura o srebrnej sierści i wyjątkowo długich wibrysach. Mam fioła na punkcie sukienek – również tych z falbankami, w kwiatowy rzucik bądź w groszki, co podobno niekoniecznie wypada nosić kobiecie w „pewnym wieku”. Do tego tematu też jeszcze wrócę. Bo chyba nie ma nic gorszego niż szufladkowanie i stereotypowe narzucanie tego, co wolno, a czego już nie wypada. Pod pięknym miodowym blondem mam zupełnie siwe włosy. Wszystkie, co do jednego. Może gdybym miała odrobinę więcej odwagi i mniej autokrytycyzmu, odpuściłabym sobie farbowanie i pozostała przy tym, co aktualnie oferuje mi Matka Natura. Przeważa jednak myśl, że żyję w społeczeństwie, w którym ocenianie jest na porządku dziennym. Siebie i innych. Z naciskiem na innych. Dla całego świata zewnętrznego jestem więc obiektem służącym do oceniania (czytaj: krytykowa­nia). I z bólem serca stwierdzam, że najbardziej okrutne wobec kobiet są inne kobiety. A zatem z tego względu jestem blondynką. Bo PESEL jeszcze nie pozwala mi na to, by doszczętnie osiwieć. Bo nie pozwalają na to trendy. Bo nie chcę wysłuchiwać uwag, że „posunął mnie czas”. Ogólnie i tak nie mogę mieć pretensji do matki natury, bo jakby dla przeciwwagi mam wciąż jędrną skórę i niewiele zmarszczek. Zakradająca się z wolna starość jeszcze nie naznaczyła mojego czoła bruzdami, mimo że grawitacja już robi swoje z biustem. Choć od paru lat odnoszę wrażenie, iż tyję od samego patrzenia na jedzenie, skutkiem czego zgromadziło mi się nieco nadprogramowych kilogramów tu i ówdzie, lubię moje lustrzane odbicie. Akceptuję samą siebie i wiem, że gdyby nie presja otoczenia, polubiłabym się nawet z siwymi włosami.

Wykonywanie wolnego zawodu ma tę wspaniałą zaletę, że mogłam pozbyć się budzika. A raczej rzadko się zdarza, aby był mi potrzebny. I bardzo dobrze, bo od lat cierpię na bezsenność. Szczerze współczuję wszystkim paniom, które też się z tym zmagają, a jednak każdego dnia muszą stosować się do tyranii zegara. Dzień, w którym uwolniłam się od konieczności codziennego wstawania o tej samej porze, by zdążyć na czas do pracy w biurze, był jednym z najszczęśliwszych w moim życiu.